

LEON DURKA



FARMER

Leon Durka

FARMER

CZĘŚĆ I

1

Droga przez wieś nie była przyjemna. Ciemna noc drugiej połowy października, strugi wody lejące się z nieba i błoto wychlapywane spod gumowych butów. Te trzy rzeczy nakładały się na siebie i powodowały wzrastające przygnębienie. Postać ubrana w przeciwdeszczową, wojskową pelerynę i ortalionowy kapelusz, na chwilę zatrzymała się przed furtką, w której brakowało sztachety. Pozostałe, poobłamywane, chwiały się na ledwie utrzymujących je, zardzewiałych gwoździach.

Za płotem stała mała, drewniana, kryta strzechą chałupa. Przez wąskie okno sączyło się ledwie widoczne światło naftowej lampy. Pomimo dostępności prądu, jedyny jej mieszkaniec, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna, upodobał sobie światło palącej się nafty.

Mikołaj Rejowiec siedział przy stole, na którym stała otwarta butelka, do połowy wypełniona lekko mętnym płynem, a obok szklanka z grubego szkła. Gospodarz wskazał przybyszowi sąsiednie krzesło, po czym wstał, z półki obok kafłowej kuchni sięgnął po drugą szklankę i obie napełnił pachnącą drożdżami cieczą.

– Czemu siedzisz po ciemku? – cichy głos wypełnił zagracaną izbę. – Oszczędzasz na prądzie?

– Robię to, co lubię – odpowiedział gospodarz, nalewając do obu szklanek kolejną porcję mocnego bimbrowa.

– Twoja chałupa i całe obejście to skansen, jedyna taka starzyzna w całej wsi – zakpił rozmówca.

– To moja sprawa – wzruszył ramionami – i nic ludziom do tego.

– Załatwmy to, co mamy załatwić – wyjęta z wewnętrznej kieszeni peleryny koperta pojawiła się na stole. Mikołaj przeliczył pieniądze i podniósł z podłogi pudełko po butach.

- Tu jest wszystko, co dla ciebie mam. Zdjęcia i klisze.
- Skąd mam wiedzieć, że to wszystko?
- Mam swój honor – oburzył się Mikołaj.
- Co zrobisz z tymi pieniędzmi?
- Pojadę do Afryki na safari – zażartował. – Jak tylko wytrzeźwieję i doprowadzę się do porządku – dodał po chwili.

- Jak się czuje ktoś, kto nie ma wstydu? – złowrogie pytanie zawisło w powietrzu.

Mężczyzna spojrzął ze zdziwieniem na postać w pelerynie. – Inaczej byś nie szantażował ludzi – dodał przybysz.

- Jest takie przysłowie „kurwa kurwie łba nie urwie”. Ty masz coś na sumieniu i ja też. Niejako bilans jest wyrównany. Ty zapewniasz sobie spokój, a ja... mam swoje plany. Więc po co zawracać sobie dupę moralnością i wyrzutami sumienia? – mężczyzna wskazał na butelkę. – Dolać na drugą nogę?

Rozmówca zaprzeczył, wstał i wyszedł z chałupy w milczeniu.

Nie minęła minuta od wyjścia gościa, kiedy Mikołaj usłyszał skrzypnięcie wejściowych drzwi.

- Po co wracasz? – zapytał, nie odwracając głowy. – Chcesz się napić jeszcze jednego?

Butelka silnie trzymana za lekko wypukłą szyjkę, uniesiona do góry, z impetem wylądowała na pooranej zmarszczkami szyi, tuż przy nasadzie czaszki. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia, a zaraz po nim upadek bezwładnego ciała na podłogę. Samogon wylał się ze szklanek i cienką strużką poleciał wprost na twarz ofiary.

Puls nie był wyczuwalny. Podniesiona powieka ukazała przekrwione oczy – źrenica nie reagowała na światło – tak przynajmniej zarejestrował to przybysz. Zrzucił lampę naftową na podłogę. Paliwo się rozlało i cała izba zaczęła zajmować się ogniem. Za godzinę, może za półtorej, płomień strawi wszystko. Ulewny deszcz nie uchroni drewnianej konstrukcji.

Droga powrotna nie należała do przyjemnych. Wychlapywane spod wysokich gumiaków błoto wydawało charakterystyczny dźwięk. Plusk, plusk, plusk. Pojawiły się wyrzuty sumienia. Dopiero przed wejściem do domu napastnik zdał sobie sprawę, że nie zabrał z chałupy Mikołaja pieniędzy. Pierwszy impuls kazał wrócić, ale przeważył rozsądek. Nie mógł ryzykować.

PRL

W czasach PRL-u porody odbywały się w szpitalach na oddziałach zamkniętych. Ojcom wstęp na porodówkę był zabroniony. Przy porodzie asystowała położna. Do przypadków trudnych wzywano lekarza.

Anna poczuła bóle porodowe około czwartej po południu. Po godzinie pękł pęcherz płodowy i rozpoczął się poród. Ciężarną przewieziono na ulicę Żelazną do szpitala im. Świętej Zofii.

Kobieta została przetransportowana na salę porodową. Po zbadaniu, przydzielono jej położną z dużym doświadczeniem – była to siostra zakonna Marianna ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Loretańskiej. Siostry z tego zgromadzenia zajmowały się głównie edukacją oraz wydawaniem kościelnych periodyków. Były wśród nich także położne.

Wiara siostry Mariany nie była zbyt głęboka. W odróżnieniu od innych zakonnice, często ulegała pokusom. Nikt o tym jednak nie musiał wiedzieć. Jako położna była doskonałym fachowcem i to liczyło się dla dyrekcji szpitala najbardziej.

Zrobiła wywiad z rodzącą. Cięża była zaniedbana. Zero wizyt u lekarza, brak jakiegokolwiek dokumentacji medycznej. Kobieta przez ostatnie dziewięć miesięcy czuła się dobrze i nie widziała konieczności lekarskiej oceny swojego stanu.

Pomimo częstych skurczów macicy, płód pozostawał w brzuchu matki. Po namyśle, siostra Marianna zadzwoniła do doktora Alojzego Deptaka. Mający niesławną przeszłość w szeregach Służby Bezpieczeństwa lekarz, nazywany był krawcem z racji swoich umiejętności przy porodach przez cesarskie cięcie.

Tym razem poród był trudny do odebrania. Dziecko miało położenie pośladowe i owinięte było pępowiną. Aby matka mogła urodzić, należało dokonać cięcia powłok brzucha.

Niskiego wzrostu, łysy mężczyzna drobnej postury, patrzył na rodzącą przez okrągłe okulary w grubych oprawkach. Wokół postaci medyka wyraźnie było czuć woń alkoholu. Po zbadaniu pacjentki, zdecydował na zmianę położenia płodu. Narzędzia konieczne do wykonania cesarki nadal stygły w autoklawie.

Na wysokości piersi kobiety zawieszono nieprze-zroczystą zasłonę. Doktor Alojzy zaordynował podanie miejscowego znieczulenia. Może poród byłby łatwiejszy, gdyby lekarz zdecydował się na cesarkę – wystarczyło zaczekać kwadrans i przynieść narzędzia z autoklawu. Doktor jednakże miał swoje zasady i lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

Kiedy ukazała się główka dziecka, Alojzy wyszedł z sali, pozostawiając pacjentkę pod opieką położnej, która odbierała już poród sama. Podniosła zakrwawione prześcieradło, które wrzuciła do kosza. Innym okryła pacjentkę. Przez dłuższą chwilę pozostawała w bezruchu.

Minęło pół godziny. Położna spojrzała na matkę, która była blada jak ściana. Wyglądała na śpiącą. Podeszła bliżej i wówczas zrozumiała, że pacjentka nie żyje.

Podniosła słuchawkę telefonu, by zawiadomić Alojzego Deptaka, ale zamiast skontaktować się z pokojem dyżurnym, zadzwoniła do siostry przełożonej. Miała dość kontaktów z pijanym medykiem, potrzebowała wsparcia.

- Czy ten ktoś nadal jest zainteresowany? - rzuciła

do słuchawki. Nie chciała przedstawiać szczegółów, rozmowa mogła być kontrolowana. Służba Bezpieczeństwa szczególnie nie lubiła ludzi związanych z kościołem katolickim.

- Tak, proszę zatem o modlitwę w wiadomej intencji - usłyszała w odpowiedzi.

- Dajmy też na mszę, proszę przysłać pieniądze.

- Modlitwa jest ważniejsza od pieniędzy - usłyszała w odpowiedzi. - Wyślę kogoś po odbiór intencji, to zaufany człowiek.

Siostra Marianna rozłączyła się. Po trzydziestu minutach włożyła zwitek banknotów do kieszeni. Podziękowała za pieniądze. Taksówka odjechała w mrok nocy.

Po powrocie do szpitala, poszła do dyżurki, gdzie zrobiła sobie mocną herbatę. Musiała przygotować się do jeszcze jednej rozmowy. Sięgnęła po słuchawkę i wykreśliła numer męża zmarłej przy porodzie kobiety.

- Dzień dobry, tu położna z porodówki - odezwała się lakonicznie do mężczyzny po drugiej stronie linii. - Mam złą wiadomość, pańska żona nie żyje. Proszę przyjść rano do szpitala, by załatwić formalności - po czym nie czekając na odpowiedź rozmówcy, rozłączyła się. Słuchawkę położyła na stole, aby uniemożliwić próbę dodzwonienia się do sali porodowej.

Doktora wezwała nad ranem. Mężczyzna, lekko chwiejąc się na nogach, bez pośpiechu zszedł do sali porodowej. Poprawił okulary i wzruszył ramionami. Podpisał przygotowane przez położną formularze i bez słowa wyszedł na szpitalny korytarz.

2

Mieszkanie na wsi ma tylko złe strony. Kiedy pada deszcz, wszędzie jest błoto, kiedy z obory usuwany jest obornik, strasznie śmierdzi, kiedy świnie są głodne, kwiczą niemi-

łosiernie. Wszyscy są zapracowani, a przy tym nie są to przyjazne, dobrotliwe dusze, a raczej indywidua zachowujące się, jakby bezustannie walczyły o przetrwanie. Powinna stąd w końcu wyjechać. Nie rozumie miejscowych, nie rozumie prowincji i nigdy się do tego nie przyzwyczai. Początkowo myślała, że odseparowanie się od zgiełku miasta przyniesie jej radość tworzenia, że znajdzie nową, związaną z naturą drogę. Ale tu nie ma niczego, co byłoby pięknem, jest za to udoskonalony chęcią zysku prymitywizm, wszechobecny smród i utyłane we własnych odchodach zwierzęta.

Przez ostatnie dwa lata nie stworzyła niczego spektakularnego. Kilkanaście obrazów przedstawiających krajobraz, kilkadziesiąt portretów lokalnych rolników i kilka płócien z krowami i buhajami w tle. Obrazki wiejskiego domorosłego artysty. Zmarnowany czas. Zbyt długo łudziła się, że wieś da jej twórczą wenę. Nie udało się, więc może powinna zmienić środowisko, zmienić otoczenie i zacząć jeszcze raz?

Usłyszała, dochodzące z okolic drogi, krzyki. W oknie zobaczyła łunę. „Pali się, pali się”. Ludzie biegli na skraj wsi, gdzie chałupa Mikołaja płonęła niczym wielka pochodnia. Nie mogli już w niczym pomóc. Stali w błocie i patrzyli, jak ogień trawi drewnianą, pokrytą słomą konstrukcję.

Marta, podobnie jak inni mieszkańcy wioski, robiła zdjęcia pożaru smartfonem. Po około trzydziestu minutach przyjechał pierwszy wóz ochotniczej straży pożarnej, po kilku kolejnych minutach jeszcze dwa, a po nich jednostka zawodowej straży pożarnej z pobliskiego Sierpca. Skoncentrowano się na sąsiednich budynkach, które, mimo niedawnego deszczu, narażone były na spalanie. Z drewnianej chałupy została sterta miejscami nadal żarzących się, drewnianych elementów. Polewane wodą wydawały specyficzny syk. Nad pogorzeliem unosił się kłęb dymu zmieszanego z para wodną.

Lament starszych kobiet mieszał się z sykiem gaszonych płomieni. Ktoś powiedział, że Mikołaj był w chału-

pie. Wieczorami nigdy nigdzie nie wychodził, nawet gdy była ładna pogoda, a co dopiero w deszcz. Wyglądało na to, że wieś straciła jednego z mieszkańców.

Marta postanowiła, że namaluje obraz, któremu nada tytuł „Pożar wiejskiej chałupy”. W lekko uchylonym oknie umieści twarz Mikołaja. Pożar będzie otoczony powykrzywianymi gębami strażaków ochotników, których naturalna fizjonomia zmieniona została przez wysiłek, żar i szalejące płomienie. Może w końcu będzie to dzieło o jakiegokolwiek wartości artystycznej – w odróżnieniu od poprzednich wiejskich bohomaszów.

Wróciła do mieszkania w północnej stronie dużego, murowanego domu. Lokum było także jej pracownią. Od kilku miesięcy mieszkała tu na stałe. Na noc nie wracała, jak niegdyś, do sypialni męża. Żyli w separacji, choć nie wyglądało na to, żeby byli skłócenii. Odsunęła się od Henryka, a on zaakceptował tę sytuację. Widocznie było mu to na rękę.

Powiększone na ekranie komputera zdjęcia już same w sobie były obrazami, które mogłyby być uznane za dzieła sztuki. W okno płonącej chaty wmontowała znalezione w pamięci smartfona zdjęcie Mikołaja – lekko rozmazane, na którym wyglądał jak duch. Marta przez chwilę zastanawiała się nad tragedią. Jako artystka czuła narastającą ekscytację. Starła się odnaleźć ulotne emocje, aby móc przelać je na płótno.

3

Długi kuchenny nóż idealnie pasował do dłoni. Był bardzo ostry. Srebrzysty metal odbijał światło szpitalnych lamp, tworząc na klindze dziwaczne refleksy. Wykonane z nierdzewnej stali narzędzie powinno służyć do krojenia produktów spożywczych, ale jego przeznaczenie zostało zmienione. Alternatywa jest prosta,

albo metalowy przedmiot znajdzie się w śmietniku, albo w ciele ofiary.

Światło jarzeniowych lamp opalizuje na ostrzu. Narzędzie zbrodni lekko dotyka unoszącej się miarowo klatki piersiowej. Szybkie ruchy gałek ocznych świadczą o płytkiej fazie snu.

Wbije nóż w klatkę piersiową śpiącego człowieka. Ma jeszcze ostatnią szansę, aby nie stać się mordercą. Zegnie rękę w łokciu i schowa narzędzie pod fartuchem, po czym wyrzuci go... Nie, nie zrobi tego, nie może się wycofać. Usprawiedliwienie się myślą, że nie będzie to zabójstwo podyktowane wyższą koniecznością, przyniosło ulgę. To nie będzie zbrodnia w afekcie. Przecież wie, dlaczego ten człowiek musi zginąć. Takie są prawa życia i śmierci.

Impuls pojawił się w mózgu, który bezzwłocznie przesłał go do mięśni. Oparta na kościach łopatki i ręki dźwignia wykonała nagły ruch. Emocje opadły, jak płatki przekwitającego kwiatu. Po krótkim namyśle łóżko zostało przepchnięte do najbliższego pomieszczenia. Krew nie zdążyła jeszcze nakapać na podłogę.

Z Centralnego Laboratorium będącego częścią Zakładu Diagnostyki Laboratoryjnej, rozległ się przeraźliwy krzyk. Wysoki, kobiecy głos sprawił, że okoliczne szyby zadrżały. W wydostających się zza zamkniętych drzwi dźwiękach zawierała się mieszanina przerażenia i strachu. Po kilkusekundowej ciszy, lament powtórzył się. W pomieszczeniu przylegającym do pawilonu B Centralnego Szpitala Klinicznego w Warszawie rozgrywał się dramat. Kanonada niezrozumiałych dźwięków przerozdziła się w powtarzany cyklicznie krzyk: ratunku!

Jako pierwszy do korytarza laboratorium wbiegł znajdujący się w pobliżu ochroniarz. Widok, który ujrzał, sparaliżował go na chwilę. Zrobił się trupio blady, oparł się o ścianę i stanął bez ruchu w dziwacznej pozycji. W szpitalu dokonano morderstwa...